

PAULINA
CEDLERSKA

CIAŁO OBCE

Wszyscy udajemy. Nawet sami przed sobą...

FILIA

PAULINA
CEDLERSKA

CIAŁO
OBCE

FILIA

*To prawda, że całe życie musimy udawać, aby żyć.
Nie ma chwili, żebyśmy nie udawali.
I nawet sami przed sobą udajemy.*

Wiesław Myśliwski, Traktat o łuskaniu fasoli

ROZDZIAŁ 1

Dwa tygodnie wcześniej

Ostre światło drażniło źrenice. Przełknął ślinę, żeby zwilżyć gardło. W podniebienie wbiły się setki igieł. Lampa coraz bardziej raziła w oczy.

– Więc twierdzi pan, że ona tak po prostu wybiegła z auta. W trakcie jazdy wyskoczyła. Dobrze rozumiem? – Krótkie włosy w odcieniu świńskiego blond załśniły w smudze wylewającej się z przykurzonej żarówki. Policjant stukał grubymi palcami w blat stolika.

– Nie – odpowiedział twardo szczupły brunet. Kłucie w gardle ustępowało z kolejnymi słowami. Głos przestał mu drżeć. – Powiedziałem, że zażądała, żebym się zatrzymał. Zrobiłem to, a ona wysiadła. Pobiegnęła przed siebie.

– Yhym. – Mundurowy zmrużył oczy. – Proszę mówić dalej.

Mężczyzna prychnął.

– Nie ma żadnego dalej. Odjechałem.

Przenikliwa cisza pulsowała w skroniach. Policjant odezwał się po chwili, zerkając do notesu.

– Taaak. Więc podsumujmy. Zabiera pan atrakcyjną dziewczynę na tak zwanego stopa. Po około dwóch kilometrach, kiedy jedziecie przez pole kukurydzy, pasażerka nagle wymusza zatrzymanie auta. Pan posłusznie wykonuje tę prośbę, a kobieta wysiada i biegnie w nieznanym kierunku, po czym znika z pola widzenia. Pan nie reaguje.

Słowa zapętały się w głowie.

– Wbiegła w kukurydzę – odpowiedział cicho i przymknął oczy, jakby nagle zdał sobie sprawę, jak absurdalnie to zabrzmiało.

– A pan niewzruszony po prostu odjechał – drążył komisarz.

– Proszę nie manipulować odpowiedziami. Znam swoje prawa. Jeśli dalej będzie pan przeformułowywał moje wypowiedzi, nie będę rozmawiał bez adwokata.

– Ależ proszę się tak nie unosić. Ja po prostu ustalam fakty. To jest moja praca.

– Fakty są takie, że chciałem zrobić przysługę nieznajomej dziewczynie, a teraz jestem ciągnany

po przesłuchaniach. Obcinacie mi paznokcie, grzebiecie w buzi, traktujecie jak jakiegoś kryminalistę! Nie wiedziałem, że bezinteresowna pomoc w tym kraju jest przestępstwem!

Policjant przymknął oczy, jakby nad czymś się zastanawiał.

– Drogi panie Kornecki, pańska pasażerka została znaleziona martwa. Jej ciało obnażono, a w gardle tkwił kamień o średnicy kilkunastu centymetrów. Był pan ostatnią osobą, z którą widziano denatkę. W tych okolicznościach pana zeznania są jakby – wykrzywił usta w grymasie przypominającym uśmiech – kluczowe.

– Ale ja nic nie wiem! Poza tym, że ta dziewczyna mówiła z taką śpiewną manierą. Nigdy wcześniej jej nie widziałem, mieszkam tu od niedawna.

– A mimo to ochoczo zabrał pan zupełnie obcą kobietę do swojego auta. – Westchnął, jakby się zawahał. – A może liczył pan na coś więcej?

– Jestem żonaty.

Nagle na twarzy komisarza pojawiły się niewidoczne dotąd zmarszczki.

– Może upatrzyłeś sobie, skurwielu, w tej dziewczynie łatwą okazję do skoku w bok. Ona nie chciała, więc wzięłeś sobie siłą to, co w twojej opinii ci się należało – syknął.

– Przecież nie została zgwałcona.

W oczach policjanta błysnęła satysfakcja.

– Ach tak – westchnął zadowolony z siebie i znów zmienił ton głosu. – Skąd pan o tym wie? Przecież nie upubliczniliśmy tej informacji.

Milczenie.

– Nic już nie powiem. Nic nie powiem bez adwokata.

Teraz

Gwałtowny szum poniósł się po salonie. Weronika wciągnęła zapach deszczu do płuc, zamknęła okno i wróciła do czytania.

– Może rozpalę w kominku? Zimno się robi. – Miłosz odstawił kieliszek na podłogę.

– Jak chcesz – odpowiedziała, nie podnosząc wzroku znad książki.

Wiedziała, że i tak to niczego nie zmieni. Ściany tego domu nie przyjmowały ciepła, pozostawały zimne i obce.

– Cóż za zdecydowanie. Od razu wiem, co mam robić.

– Ty zawsze wiesz, co masz robić. Niezależnie od tego, co powiem, więc po co mam gimnastykować język?

– Wera, proszę cię, nie zaczynaj.

– Nie zamierzam. Idę spać. – Zatrzasnęła książkę, zapomniawszy zaznaczyć stronę, na której skończyła czytać.

– Myślałem, że posiedzimy razem. Napijemy się, porozmawiamy albo pomilczymy. – Miłosz zakłosał kieliszkiem, jakby wznosił toast.

– Codziennie pijemy wino. Siedzimy. I dalej tkwimy w tym samym punkcie, w którym byliśmy wczoraj i przedwczoraj.

– O co ci znowu chodzi? – Westchnął, siadając na podłodze. Oparł głowę o jej łydkę, a ona instynktownie odsunęła nogę. – Przyjechaliśmy tu po to, by zacząć od nowa. A ty tymczasem koniecznie chcesz grzebać w tym syfie.

– Już o nic. Jeszcze kilka dni temu chodziło mi o prawdę.

– Przecież wiesz wszystko. Nie ma nic więcej. – Przesunął palcem po jej okrągłym znamieniu o nieregularnych kształtach na policzku.

– Masz rację. Nic już nie ma – mruknęła, odsuwając jego rękę. Nienawidziła, kiedy dotykał tego miejsca. Jeszcze kilka lat temu z powodu plamy szpecącej twarz miała ogromne kompleksy. Teraz zaakceptowała pieprzyk, ale wciąż nie lubiła, gdy mąż muskał jego meszkowatą powierzchnię. Zresztą w ogóle nie lubiła już jego dotyku.

Nie czekając na reakcję Miłosza, poszła na górę i opadła na skrzypiące łóżko. Odkąd przyjechała tu niespełna trzy tygodnie wcześniej, nic nie było takie, jak powinno. Ten dom, Miłosz, łóżko – wszystko szorstkie i niedopasowane. Tęskniła za Krakowem. Rozgrzanym słońcem Kazimierzem, rozśpiewanym w smoliste wieczory Rynkiem, szeleszczącymi jesienią Plantami. To wszystko wymienili na jakąś stęchłą plantację lawendy na końcu świata. Miłosz się uparł. Mogli wyjechać gdziekolwiek, ale on zafascynował się tym kawałkiem ziemi przy lesie ze starym domem, który zapisała mu ciotka. Nigdy o niej nie wspominał, nie był nawet na jej pogrzebie. Umierała samotnie w jakimś eleganckim domu starców.

– Śpisz? – Niski głos przecisnął się przez uchylone drzwi.

– Chciałabym – mruknęła z twarzą wciąż przycisniętą do materaca.

– Wera, musimy trzymać się razem. To się jakoś wyprostuje. Doprowadzimy tu wszystko do ładu – zapewnił ją Miłosz, wchodząc do pokoju. – Co ja mówię. Doprowadzimy nas do ładu i poszukamy bardziej cywilizowanego miejsca. Obiecuję. Ale teraz musimy tu trochę zostać, żeby nie wyglądało, jakbym uciekał.

Gwałtownie usiadła na łóżku, a jasne kosmyki opadły jej na czoło.

– Ciągłe tylko obiecujesz! – powiedziała uniesionym głosem. – Ale jeszcze żadna z tych obietnic nie została urzeczywistniona. To miał być klimatyczny domek pod lasem z uprawą lawendy i widokiem na wzgórze, a nie podupadłe gospodarstwo pełne pleśni i brudu poukrywanego po kątach.

– Przesadzasz. Jutro odpalimy piec gazowy i będzie cieplutko. Meble są może trochę podniszczone, ale to wszystko włoska robota. Nie jakaś tam IKEA.

– Wolę IKEĘ.

– A ja wolę, jak nie jesteś malkontentką – odparł z lekką irytacją.

– Trudno o entuzjazm, kiedy mieszkasz w miejscowości, której liczba mieszkańców nie przekracza stu i oni wszyscy mają twojego męża za mordercę.

Miłosz głośno wypuścił powietrze z płuc.

– Kurwa, serio? Przecież odbywaliśmy już tę rozmowę. Przynajmniej kilka razy.

– Żadna z nich niczego nie wniosła.

– Od kiedy karmisz się plotkami?

– Pomyślmy. Może od momentu, kiedy sąsiedzi zaczęli wytykać mnie palcami.

Prychnął.

– Przecież my nie mamy sąsiadów.

– Nie łap mnie za słówka.

– Wera, do cholery! Serio?! A wytykanie palcami w Krakowie ci nie przeszkadzało? Co ja

mówię, jakie wytykanie palcami! Tam były pogroźki i obelgi.

– To była zupełnie inna sprawa. Nie mieszaj tych dwóch kwestii.

– Wyjazd był jedyną rozsądną decyzją – powiedział Miłosz z naciskiem. – Przynajmniej na jakiś czas. Dobrze wiesz, że tam ciągle by to wracało. To miejsce pozwoli nam zapomnieć.

Weronika potrząsnęła głową.

– Od tego nie da się uciec. Zresztą nawet nie chcę. To część mojego życia, ślad na wzór pępka, tyle że niewidoczny. Ale to zawsze będzie już ze mną.

– Pieprzysz głupoty. To zmieniona chorobowo tkanka. Trzeba ją wyciąć. Jak nie postawisz kropki, oboje w tym ugrzęźniemy.

Zbliżył i wyciągnął rękę, jakby chciał ją przytulić. Wzdrygnęła się.

– Idę się kąpać – oznajmiła, podnosząc się szybko.

Zanim zdążył zareagować, zniknęła za drzwiami.

Promienie wrześnieego słońca padały na wzgórce purpurowe od lawendy, której gałązki kołysały się łagodnie na wietrze. Weronika otworzyła okno i do środka wdarło się rześkie powietrze. W oddali niósł się śpiew ptaków. Powinna zachwycać się

widokiem, majestatycznym, a jednocześnie smutnym, ale zamiast tego czuła rozrastającą się pod żebrami pustkę. Nie wiedziała, czy może ufać Miłoszowi, a przede wszystkim czy może ufać sobie. Myśli krążące jej po głowie wywoływały tęsknotę. Nie za murami i adresem, a za poczuciem przynależności. I ciepłem. Włożyła beżowy golf w drobną jodełkę i wyszła do ogrodu.

– Czołem, szefowo. – Marcin, dozorca, który zarządzał pracą w gospodarstwie, pomachał do niej brudną od smaru rękawiczką.

Bąknęła pod nosem powitanie i skrzyła w stronę mieniącego się odcieniami purpury pola. Gdyby przyjechała tutaj na weekend, pokochałaby to miejsce od pierwszego oddechu. Teraz podmuchy przesiąkniętego zapachem wilgotnej ściółki powietrza sączyły się do płuc jak trucizna, która odbierała chęć do życia.

– Za chwilę trzeba będzie zacząć zbiory. – Męski głos wybrzmiał tuż przy niej tak nagle, że aż podskoczyła. Nie zauważyła, że Marcin za nią poszedł.

– Ile to zwykle trwa?

– Dwa, trzy dni i będzie po sprawie. Dziewczyny ze wsi przyjdą, to trochę pomogą. Grosza sobie dorobią, a i wianki z obrywek uplotą. Taka tradycja.

– Uczennice?

– A gdzie tam. Matki, żony, gospodynie. Tu pracy nie ma, to nikt nie wybrzydza, jak jest okazja, żeby trochę zarobić. – Młody mężczyzna podrapał się po rudej, krzywo przystrzyżonej brodzie. – Chociaż teraz to wszystkim się posada w szkole marzy. Dyrektor sekretarki szuka, bo Wanda Ogonowa na emeryturę już rok temu poszła, i każda wiejska dziewczucha skrycie marzy, że uda jej się wskoczyć na biurowy etat. Ale ten wymuskany cwaniaczek jakoś się nie kwapi, żeby wakat obsadzić. Pewnie kogoś swojego chce wepchnąć albo... – Skrzywił się. – Zresztą nieważne – dodał.

Weronice wydawało się niedorzeczne to, że posada sekretarki w wiejskiej szkole może być dla kogoś szczytem zawodowych marzeń.

– Dobra praca to połowa życiowego sukcesu – odparła. – W końcu spędzamy w niej tyle czasu. A pan swoją lubi?

– Lubię i nie lubię. – Wzruszył ramionami. – W sumie to trochę nie praca, jakby tu wszystko moje było, a za takim gospodarstwem to tutejsze panny sznurem – zaśmiał się, obnażając żółte zęby, a później dodał: – Odkąd Klemencja zachorowała, sam tu urzęduję i doglądam. Całą emeryturę mi do zarządzania dawała i jeszcze trochę angielskich funtów ze skarpety.

Przez myśl przeszło jej, że Marcin opowiada o tym, żeby wymusić podwyżkę. Postanowiła zapytać Miłosza, ile mu płacą. Była przekonana, że mąż swoim zwyczajem zawzięcie negocjował stawkę, a jeśli go przekona, żeby ją obniżył, może pozbęda się z domu tego faceta. Miała nadzieję, że niska wypłata go zniechęci. Coś jej w nim nie pasowało.

– Będę się zbierać. Chciałam się przejść do sklepu po jabłka do ciasta, a przez las będzie krócej.

– Szarlotkę będzie pani piekła? – W szarych oczach pojawił się błysk.

– Taki był plan, ale jeśli się nie pośpieszę, to mogę się nie wyrobić nawet na jutrzejsze śniadanie. – Weronika roześmiała się sztucznie, krótkim urwanym śmiechem.

– Pani uważa, jak będzie pani przez ten las szła. Teraz czasy niepewne. Tamta dziewczyna, co ją martwą znaleźli, też przez las pewnie iść chciała.

Spojrzała na niego podejrzliwie, jakby w tych słowach spodziewała się zakamuflowanego ataku. Mężczyzna potarł się po siwiejących skroniach, które zupełnie nie pasowały do jego bojówek i glanów.

– Choć ja tam plotkom nie wierzę. Miłosz na pewno nie miał z tym nic wspólnego, a ludzie różnie gadają – powiedział cicho, jakby czytał w jej myślach. – Ale gdzieś między nami chodzi ten, co

to naprawdę zrobił, więc lepiej uważać, bo lichy nie śpi – dodał, wpatrując się w zarys drzew.

– Licho nigdy nie śpi – mruknęła i ruszyła przed siebie.

Wiejski sklep mieścił się w niewielkim kanciastym budynku, przypominającym garaż. Krata z wykwitami rdzy wetknięta w prostokątne okno nie zachęcała do wejścia. Środek nie prezentował się lepiej – skrzynki z owocami ustawiono niedbale pod starą ladą, lodówka pełna była taniego piwa, a pieczywo piętrzyło się na półce tuż obok kasy, chłonąc mikrocząsteczki śliny wszystkich klientów. W klaustrofobicznym wnętrzu tłoczyło się kilka osób.

– Panie Roguszczyk, powiedziałam nie. – W głosie czterdziestokilkuletniej ekspedientki wibrowała złość.

– No Zosieńko droga, ulitujże się nad spragnionym. Jak to ksiądz grzmi z ambony? Spragnionych napoić, złociutka. Renta przyjdzie, to wszystko oddam.

– Przyszły już przynajmniej trzy i grosza pan nie oddał. A mnie szef chce z wypłaty potrącać. Mowy nie ma.

– Tym razem oddam. Jak Bożę kocham.

– Pan Bożę nie kochasz, bo jakbyś kochał, to byś pan trzeźwiał chociaż od święta. A jak długo

tu pracuję, to na oczy trzeźwego pana nie widziałam.

Po sklepie poniósł się nerwowy szmer.

– Kolejka jest, proszę się odsunąć – dodała twardo ekspedientka.

– Czyli nie? Na kreskę mi pani nie da? – Wciągnął głośno powietrze.

– Już powiedziałam, że nie. A jak pan dalej będzie utrudniał innym klientom zrobienie zakupów, to wezwę policję.

– A niech cię piekło pochłonie! Policją mnie na stare lata straszyć. To mi sklepowa! Szlag niech ją trafi i tę budę też...

Weronika przymknęła oczy, próbując złagodzić przeszywający ból głowy, który niespodziewanie ją zaatakował.

Wcześniej

Rytmiczny stukot cienkich obcasów niósł się pomiędzy eleganckimi blokami, przypominającymi bardziej hotele niż budynki mieszkalne. Chłodny wiatr przyjemnie drażnił policzki. Starsza kobieta z blond lokami opadającymi na czoło wyjęła z kieszeni kardiganu kluczyki. Szczęknięcie automatycznego zamka uzmysłowiło Weronice, że nie

Weronika i Miłosz, uciekając przed bolesnymi wspomnieniami, przeprowadzają się z krakowskiego mieszkania do niespodziewanie odziedziczonego domu na Wzgórzach Dylewskich. W okolicy dochodzi do makabrycznego morderstwa młodej kobiety. Zabójca obnażył ciało, a w gardle ofiary umieścił kamień. Ostatnią osobą, która widziała zamordowaną tuż przed śmiercią, był Miłosz. Wkrótce zabitych w ten sam sposób kobiet jest więcej, a na mężczyznę spływają kolejne oskarżenia.

Weronika zaczyna dostrzegać niepokojące zachowanie męża, jednak jest przekonana, że nie byłby w stanie dopuścić się takiego okrucieństwa. Próbując uciec przed rzeczywistością, coraz bardziej zatracą się w traumatycznych wydarzeniach z przeszłości. Przypadkiem odkrywa, że wieś skrywa wiele tajemnic, a mieszkańcy Szumów zrobią wszystko, by stare grzechy nie położyły się cieniem na teraźniejszości. Jednak czające się w odmętach umysłów zło przybiera coraz wyraźniejszą formę. Kiedy nie ma już przed nim ucieczki, pozostaje się z nim zmierzyć...

cena 47,90 zł

mrocznastrona.pl
wydawnictwofilija.pl



FILIA MRO CZNA
STRONA

